№ 35.

Warszawa dnia 21 Sierpnia / 2 Września 1865 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, **na prowincji** i **w Cesarstwie** *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

LUDGARDA.

OBRAZEK

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

III.

(Dalszy ciąg.)

Zaśmiał się Leon.

— Głupstwo! Pułkownik, bo wielceby się gniewał, gdyby wiedział, jakie to krążą gadki.

I cóż takiego?

— Ej, głupstwo!....

— Więc to niby widują tę piękną Ludgardę?

— Och, i często takie powtarzają baśnie... Czy słyszałeś lub czytałeś kiedy o owéj kobiecie w zamku rydzyńskim?

— W Poznańskiem?

— Tak.

— Nigdy!

— Otóż ukazuje się tam podobno w jednę noc w roku, w zamkowéj kaplicy, kobieta w bieli, z rozpuszczonym włosem.... i nagle zapłoną na ołtarzu świece, a w konfesjonale zasiada kapłan. Kobieta klęka, modli się, jęczy.... potem spowiada się... i wszystko znowu znika.

— Bajki!

— I ja tak myślę. Ale był tu raz ktoś z tamtych stron, opowiadał tę historją przy stole, i odtąd większy jeszcze przestrach służbę ogarnął.

— Niedorzeczność! Ciemnota!... Ale jakież jest podanie o téj kobiecie w zamku rydzyńskim? — zapytał pan Leon pomimo wyrzeczonych co dopiero wyrazów: *Niedorzeczność! Ciemnota!*

— Nic nie wiem. Gdzieś tam coś o tem napisali, alem nie czytał.

Umilkli obadwaj. Leon zadumał się głęboko.

— Ale wiesz, panie Leonie — zagadał kapitan po chwili — że Boguś srodze smoli cholewki do Wandzi.

— Uważałem.

— Ha! może to i będzie chlebek z téj mąki.

Leon kiwnął głową.

W téj chwili wesołe rozległy się odgłosy i młodzi panowie weszli na salę.

Po drugim śniadaniu odbyto przejażdżkę do lasu. Szukano grzybów — i młodzież różne tam sobie figle płatała.

Wieczorem gry i tańce do późna potrwały. A gdy następnie rozchodziło się towarzystwo, pożegnał Leon już na dobre sędziwego gospodarza, bo zamierzył Rusielsk rychło nazajutrz opuścić. Pułkownik uścisnął go serdecznie i wzywał, by niezadługo znowu przypomniał sobie o starym przyjacielu ojca, który i jego szczerym jest przyjacielem.

— Kiedyż się zobaczymy, Kuzynku? zapytała pani Kamilla, gdy ją żegnał także.

— Nie wiem, kuzyneczko, nie tak prędko zapewne.

— Przyjedźże do nas!

— Mam teraz parę wyjazdów.... chcę dawnych znajomych odwiedzić... kolegę szkolnego.... Ale napiszę — i pocałował ją w rękę.

Kapitan wyśledził, że pan Leon przed wyjazdem, który bardzo rychło nazajutrz nastąpił, był jeszcze, jakby na pożegnanie, w *zielonym* pokoju.

— Nie widział wszelako, żem ja 'go widział, wyrzekł do pani Kamilli — ale był jakoś zamyślony i nie swój. Anim przypuszczał, że on o godzinie czwartéj z rana już potrafi być gotów do podróży, poszedłszy na spoczynek dopiero około pierwszéj z północy!... Poczciwy chłopak! Złote serce! Posłyszał, że w miasteczku umarł biedny powroźnik,

zostawiwszy żonę w nędzy z kilkorgiem dzieci, i oddał mi dla niéj sto złotych.

— Poczciwy! Aż mi go żal, że te jakieś, nabyte przywary kwaszą mu życie. No, zobaczymy!

W tydzień potém odebrała pani Kamilla z poczty 2000 zł. pol. i list następujący:

„Dobra Kuzyneczko!

Stosownie do umowy naszéj, zawartéj na dniu 14 maja r. b., składam kochanéj Pani mojéj na dochód szpitala 2000 zł. pol., jako *przegranę* — zadowolony naprawdę wielce, że to uczynić mogę.

Jutro wyjeżdżam z domu na parę tygodni.

Szczerze do Was przywiązany

Leon.

Grodlin 20 Września 1859.

Pani Kamilla zaśmiała się wesoło — w ręce klasnęła — i ucieszona ponad wyraz do męża pobiegła.

IV.

Pomimo wyrazów *zadowolony naprawdę wielce*, Leon wszelako jakoś *wielce* był nie swój i dziwnie zamyślony. Przez tydzień cały ani się ruszył z Grodlina — a niby w jakimś niepojętym niepokoju na miejscu dosiedzieć nie mógł. To przebiegał pokoje obszernego i ładnego dworu — zakrawającego na pałac — jak gdyby czegoś szukał. To krążył pomiędzy klombami, wśród ślicznie utrzymywanych trawników — po krętych chodnikach, wśród cieniu drzew starych, bo *rezydencja* jego nader powabnem zalecała się położeniem, upiększonem sztuką ręki ludzkiéj przez zamożnych dziedziców. Niekiedy na pięknym wierzchowcu po dalekich gonił polach — a nawet nieraz i pieszo, przemierzając miedze i łąki, okurzony, zmęczony, do domu późno wieczorem powracał.

A co też ten wywołało niepokój — i dziwactwo?— jak wyrażała się służba. Och, bo pan Leon wszędzie upatrywał... Czego?.... Otóż ducha!.... Ducha ślicznéj jezdczyni na białym koniu! — One widzenia w Rusielsku zaintrygowały go ponad wszelki wyraz — a rozwiązania znaleźć nie mógł. Nie śmiał z nikim o tem pomówić, ażeby nie popaść w śmieszność — nawet i Kapitan nie potrafił sobie tyle zjednać zaufania. Ale, bo i jakżeż miałby się przyznać, że... widuje ducha?!... Zresztą i sam nie wierzył.... a wszelako.... wszelako cóżże to było?!.... Przecież widział żywemi oczyma, jak najdokładniéj — a jeszcze.... a jeszcze i śliczną była ta dziewica! Powabniejszą od tych wszystkich żyjących!

Biblioteka w Grodlinie była dość obfitą w przeróżne dzieła. Była tam i *Demonowania* i *Jasnowidząca z Prewost* — i *Beitrag* do tejże *Jasnowidzącéj*— i jeszcze kilka dzieł podobnych. Leon dnia jednego zabrał się do nich, zaczął je przerzucać — i chciwie czytać.... potem, po kilku godzinach, porzucił wszystko — i szafy zatrzasnął, że aż szyby zadźwiękły — klnąc cały *spirytualizm.*

„Oszalałbym!“ — zawołał. Kazał sobie konia przyprowadzić, pogonił przez ugory, sadził przez płoty i rowy — przystanął nagle na świeżo pooranéj roli i upatrywał czegoś — to zatrzymał się na łące, i patrzał znowu — i pocwałował do lasu. A gdy na spienionym *Coxcomb*'ie do domu powrócił, wyprawił list powyżéj zamieszczony, z pieniędzmi, do pani Kamilli — dopełniając aktu sumienia. Potém wydał rozkaz, że nazajutrz rychło wyjedzie. Kazał podać samowar — i poprosić *pana rządcę.*

Pili pospołu herbatę i wieczerzali. Pan Leon wydawał panu rządzcy polecenia przeróżne, oznajmując, że na dwa lub trzy tygodnie wyjeżdża. Rozmawiali o gospodarce—radzili o ulepszeniach różnych— prawili o *sterkoryzacyi* i *drenowaniu* — i młody dziedzic aż niby orzeźwił się tą o rzeczach praktycznych pogadanką.

To też, gdy następnie rządca odszedł, a Leon z cygarem w ustach jeszcze salkę przemierzał — wyrzekł sam do siebie z mocnem postanowieniem: „Gdy powrócę zajmę się gospodarką, rolnictwem, i musi być u mnie wzorowe wszystko. Praktyczne życie i zajęcie nie znudzi mnie, bom go jeszcze nie doświadczał... będzie to nowość zupełna!.... Praktyczność znudzić nie może, nie zużyje się.... i w takiem zajęciu pozbędę się..... tych niedorzeczności.... tych mar!... Zapomnę.... Hm! ależ przekonałem się, że.... nie jestem *blasé* zupełnie.... Kamilla miała słuszność podobno!... Nie jestem *blasé*... to więc będę *praktycznym*.... i *materjalistą!*

Nazajutrz rychło wyjechał, a wieczorem stanął w Nadolnie u pana Karola Birowicza — od ławki szkolnéj przyjaciela.

Pan Karol był dotąd nieżonatym, ale zabierał się właśnie do błogosławionego stanu małżeńskiego. Rozsądny, gospodarz zabiegliwy, praktyczny, zawsze wesołego humoru, był obecnie dla Leona jakoby z nieba zesłany.

— Nie puszczę ciebie tak prędko od siebie — wymówił, oprowadzając go po świeżo uporządkowanym dworze — bo jako zagraniczny bywalec i panicz znający wszystko, w niejedném poradzić mi możesz, jakby to wszystko z francuzką *élegance*, i angielskim *comfort*'em urządzić.

— Jak zechcesz, co zechcesz — odrzekł powolnie Leon.

— A w niedzielę pojedziemy do Gronowa i poznasz moją bogdankę. Jest tam odpust, będzie osób kilkanaście, i zabawisz się dobrze.

Leon już chciał ziewnąć, lecz powstrzymał się — i raczéj zaczął prawić o tegorocznych żniwach — o uprawie roli i uporządkowaniu lasów. A było to dla dziedzica Nadolna: *W to mi graj!*

Jeździli w pole — do lasu; chodzili po stajniach po oborach— do owczarni—do stodół i na szpichlerz. A nawet i gospodarcze regiestra pokazywał miłemu gościowi uprzejmy i praktyczny gospodarz. Przytem Leon powtarzał: że ktokolwiek kawał ziemi posiada, powinien pracować na nim i starać się wszelkiemi siłami o podniesienie kultury. Powiedział sobie, że go na tem właśnie polu wszystko zajmuje; że rozmiłował się w rolnictwie, że go nawet i regestra pana Karola bawią. Ale.. jednakże.... raz po raz zamajaczyło mu przed oczyma duszy jakieś urocze widzenie — i wtedyto zaraz o *negretti*'ch — o krowach tyrolskich — karmionych wywarem wołach, o najroślejszych i najsilniejszych koniach mówić począł — bo zwiedził przed rokiem Meklenburg, a na-

wet i ziemię potomków dzielnych kiedyś *Ditmarsenów*. Prawił o konieczynie — *esparzecie* i *lupinusie*.

W niedzielę już od samego rana wypchnięto koczyk pana Karola—czyściutki, łyszczący. Stangret w czerwonéj kamizelce uwijał się skrzętnie. Potem założył piękną czwórkę skaro-gniadą — a każdy rzemyk wyglądał, jak gdyby co dopiero z ręki mistrza szlachetnego *kunsztu* rymarskiego był wyszedł.

Koczyk zaturkotał przede dworem. Panowie eleganckie ubrania lekkiemi płaszczykami pokryli — i wesoło do powozu wsiedli. Nawet i pan Leon miał wcale rozjaśnione oblicze — zdawało się, że całkiem o ziewaniu przepomniał.

Zajechali w Gronowie prosto przed kościół — bo już czas był wielki, jak to okazywał chłopak biegnący od plebanii z fajerką.

Nie tylko świątynia pańska, ale i cmentarz przepełniał lud wieśniaczy — pobożny zawsze — i niejedna raźna dziewucha, w barwnéj sznurowce, wstęgach kwiatach i bieluśkim rańtuchu urodą swoją zwracała uwagę.

Karol z Leonem zatrzymali się na cmentarzu, bo właśnie wychodziła procesja.

Zabrzmiały wszystkie dzwony uroczyście a harmonijnie zarazem— i śpiew dźwięczny niezliczonych głosów; *Boże w dobroci nigdy nieprzebrany!* rozległ się w czystem przestworzu. Dziewczęta niosły obrazy ś. postrojone w kwiaty, świecidła i wstęgi. Nastąpiły bractwa ze światłem, chłopięta w białych komeżkach, kapłani—a pod baldachimem adamaszkowym sędziwy dziekan w arcy-pięknéj kapie, z błyszczącą w obu rękach Monstrancją. I cały ten obraz niewidziany od lat dzieciństwa, i ten śpiew nieuczony, ale wszelako zgodno-dźwięczny, bo płynący z duszy do duszy; pełne i uroczyste tony organów z kościoła — i wonne dymy ambry: — to wszystko nadspodziewane wrażenie na Leonie czyniło. A było tak swojskie, barwne, a jednakże i pełne prostoty.

Weszli do kościoła i usiedli w jednéj z ławek przy wielkim ołtarzu.

Z chóru i wśród umajonych ścian świątyni unosił się śpiew dźwięczny głosów dobranych. Z pomiędzy innych dolatywał głos młody, srebrzysty, anielski.... Leon spojrzał, pociągany muzyką.... i o mało że nie zakrzyknął: w kapelusiku czarnym z białem piórem, okrągłym, stała przy organach.... *Ludgarda.*

— Któż to jest tam na chórze? zapytał głosem ściszonym, pochylając się ku Karolowi.

— W ryżowym kapelusiku, brunetka? to moja bogdanka, panna Lucyna Mrągowska—odrzekł Karol.

— Ależ.... ta druga!

— Ta obok, brązowa cała, w okularach szafirowych, *jest miss Woodbrigde.*

— Och, ta w czarnym kapelusiku z białem piórem! — wymówił Leon niecierpliwie, z rozpaczliwem niemal zwątpieniem, bo już przypuszczał, że on *sam jeden tylko* widzi ją znowu — jak to bywało ongi w Rusielsku.

— A! to jest panna Cecylia Domirska, śliczne stworzenie, i anielsko-dobre, poczciwe. Zainteresowała ciebie.... Masz dobre oko... Ależ cicho, bo zły przykład dajemy.

Zaczęła się summa.

Pan Leon wszelako ciągle na chór spoglądał: to istna była *Ludgarda!*... Czyliż go wzrok mamił?.... Och, on już był w domu!.... *Cecylia Domirska!* mąciło mu się w głowie: niby był szczęśliwy, a niby gniewny.... zły na Kamillę, na kapitana, na wszystkich — i na siebie. A znowu mógłby się zaśmiać, na całe gardło. *Cecylia Domirska!*... Śpiew anielski wdzierał się do duszy.... Leon niby się modlił — ale nie słowami. *Cecylia Domirska! Ludgarda!*.... i zapłonął. To był dziwnie uradowany — i znowu mu cóś niby serce tłoczyło. Słuchał kazania — lecz nic nie rozumiał. Skłonił czoło przy ś. ofierze — uderzał się w piersi.... i wszystkie dawne wspomnienia i wrażenia wszelkie utuliły go niby w objęciu swojem.

Nabożeństwo się skończyło — i razem z drugiemi wytłoczył się z kościoła. Świeże orzeźwiło go powietrze — i silnéj woli potrzeba, by nie okazać się dziwakiem lub śmiesznym.

Po za bramą cmentarza zatrzymali się państwo Mrągowscy, czekając na gości swoich. Karol przedstawił im Leona. Nadeszła i ładniutka jego narzeczona, uśmiechnięta, rumiana — za nią *miss Woodbridge* w brązowéj sukni, w brązowym kapeluszu z brązową na niéj zasłoną z gazy *Donna Maria* — z długiemi, jasnemi lokami i okularami szafirowemi. A za tą córą Albionu.... śliczna, wysmukła, płowo-włosa, polska dziewica, rysów lica biało-różowego jakby dłutem wyrzeźbionych, wielkich modrych oczów z ciemną brewką — słodkiego wyrazu i ponad wszystko łagodnego wejrzenia; w kapelusiku czarnym z białem piórem.

— Pan Leon Mirzecki — przedstawił go Karol.

Panna Domirska nagle zapłonęła — a potem zbladła, jak tarniny kwiatek, i uśmiech młodéj swobody uleciał z lica, że aż Leonowi żal było. — „*Ludgarda!*“ — pomyślał i przygryzł usta.

Pan Karol podał rękę bogdance swojéj — i całe towarzystwo zwolna ku dziedzińcowi postępowało.

Leon szedł obok panny Cecylii — zdarzył-że to przypadek? — Ja nie wiem! — Potrzeba było zagadać do niéj, a nie wiedział, od czego zacząć. Miałże zapytać: czy nie zbyt gorąco było na chórze? — „*Insipide et stupide!* poszepnął sobie w duszy.

„Miałem przyjemność być przed niedawnym czasem u dziadka pani w Rusielsku“ — już miał na języku, ale stłumił te słowa, skarciwszy sam siebie wyrazem: *shocking!*

Państwo daleko ztąd mieszkacie? — zdobył się przecież na to zapytanie, i ugryzł się w język.

— O mile jednę — odrzekła panna, zapłonąwszy z lekka.

— Nie było w głosie pani dosłyszeć strudzenia, chociaż po milowéj przejażdżce — i już ani wiedział, czyli miał być zadowolonym z siebie lub nie.

— Panna *Woodbridge* dopomagała mi, odpowiedziała Cecylija' igrając czarnym wachlarzem.

— Ależ *solo!*

— Nie było długie.

— Lecz były dwa.

Panna znowu zróżowiała.

— Muzyka kościelna wielce ducha podnieść potrafi — zaczął pan Leon poważniéj.

— Zwłaszcza też piękne organy.

— Ależ śpiew.... śpiew niewieści ma tyle uroku.
Panna lica przysłoniła wachlarzem.

— Pan lubisz muzykę?

— Nadzwyczaj! A przedewszystkiem śpiew. Muzyka mową jest duszy. Wesołym dodaje wesela, smutnym jéj śpiewno-żałosna nuta przyniesie łzy, a zatem i ulgę.

O, panie Leonie, czemuż ciebie pani Kamilla nie słyszała?!

— Tak, muzyka rozrzewnia, ale i koi — przywtórzyła panna, — smutkiem dotkniętych wesołe ranią tony, i znowu smętna nuta wesołość tłumi.

— Którychże mistrzów pani najwięcéj lubisz?

— Przede wszystkiem naszych! — i zróżowiała — unosi mnie, rozrzewnia i zachwyca muzyka włoska... ale i porywają cudne piosenki niemieckich kompozytorów, nie mówiąc już o wielkich utworach znakomitych mistrzów.

— Niedawno, gdzieś nad Renem, młody Niemiec, muzyk-marzyciel, roznamiętniony pieśniami Szuberta, a pewnie i z innych jeszcze powodów, dostał pomięszania zmysłów. Siadając dnia każdego nad rzeką, zapuszczał wędkę, i niczem nie zniechęcony, nigdy niezmordowany, oddawał się temu zajęciu od jutrzenki do wieczora. Zapytany, odpowiadał zawsze: „Utonęła tutaj ostatnia, niedokończona piosenka Szuberta a ja muszę ją wyłowić i dokończyć.... O! słyszę ją na dnie wody.... — i zwykle kilka taktów zanucił.

— Jakżeż to rozrzewniające i poetyczne! — wymówiła panna, a z modrych oczów niebiański strzelił promyk. I cóż stało się z tym interesującym biedakiem?

— Sam w końcu rzucił się w rzekę za tą cudną piosenką, o któréj marzył bezprzestannie, która z całem jego zespoliła się życiem, która go na dno wody pociągała.... i utonął.

Panna pochyliła głowę — znać smutno jéj było.

Towarzystwo weszło na dziedziniec i okrążyło trawnik, na którym kompas właśnie godzinę pierwszą wskazywał.

W salonie przedstawił się Leon panu Domirskiemu — i zajął go od razu nader interesującą rozmową pełną ożywienia i uprzejmości, że nikt w nim nateraz nie dopatrzyłby się *znudzenia* i *wystygłości* zwykłéj — nawet i przy najlepszéj chęci dopatrzenia się tych przywar.

— A co? Podobała ci się panna Cecylja, jak miarkuję — zaczął Karol, gdy po północy do domu wracali.

— Podobała się.... — wycedził Leon przez zęby, jak gdyby nie śmiał całego wyrzec zdania.

— Zrobię to dla ciebie, przyjacielu jedyny, że we wtorek pojedziemy do Krzewin. Winienem i ja wizytę panu Domirskiemu, a jeszcze i będą wkrótce imieniny jego, w którym to dniu całe u niego zbiera się sąsiedztwo. Więc i my będziemy, jak się rozumie.

— Jakżeż mu na imię?

— Franciszek. A ta uroczystość na czwartego października przypada. Przyrzekłem mojéj bogdance że z pewnością będę.

Leon nic nie odpowiedział — nie opierał się niczemu, jak to w jego było zwyczaju, co niezmiernego dowodziło postępu na drodze nowego życia.

We wtorek tedy wybrali się do Krzewin. Pan Domirski był w polu, a panna i *miss Woodbridge* siedziały na wystawie dworu od strony ogrodu — dokąd lokaj zaprowadził przybyłych.

Panna Cecylija zakwitła jak różyczka, gdy ich ujrzała. *Miss* szafirowych poprawiła okularów. Obiedwie pięknemi niewieściemi były robotami zajęte. Szczególniéj też podziwiał Leon pracę panny Domirskiéj — a była to *mozaika* śliczna: ekran z maleńkich ośmiokątnych kawałków materyj jedwabnych, w różnych kolorach, przeszywanych w kształtne *arabeski*.

Przedmiot do rozmowy znalazł się też i od razu obfity, bo nastręczyła go sztuka. Mówiono o kolorach i ich doborze — i pan Leon, pokazało się, nie napróżno przeczytał *Goethego* o *kolorach*. Mówiono o wzorach — o *arabeskach*, rysunku — i rozmowa przeszła na pole malarstwa. Pan Leon pozwiedzał przeróżne galerye i umiał bardzo zręcznie technicznych używać wyrazów, co nader dobrze brzmiało. Mówiono o poezyi w malarstwie — którą Cecylija pojmowała i przeczuwała duszą niewieścią, z poczuciem wrodzonem piękna — przez *intuicją*. Wreszcie przeszli do samej-że poezyi — mówili o utworach znakomitych wieszczów — o naszéj rodzinnéj poezyi i poetach naszych. Leon poznał z nich kilku osobiście — a panna z zajęciem nieokreślonem słuchała, co jéj opowiadał o nich. Przypominali sobie piękniejsze utwory na piśmienniczéj niwie ojczystéj — a lube oblicze młodéj dziewczyny coraz wyższego nabierało powabu i życia; — i pan Leon stawał się przyjemniejszym z każdą chwilą... sam siebie nie byłby poznał, gdyby był mógł się zastanowić nad sobą: całkiem dawniejszéj pozbył się skorupy.

Miss Woodbridge nic polskiego nie rozumiała języka, że zaś pan Karol angielskiego nie posiadał wcale, przeto łatał się francuzkim — który Albionka twardo wymawiała — i niemieckim: poświęcał się z heroizmem dla przyjaźni, oddał się na usługi *miss* zostawiając Leonowi otwarte pole do pełnéj uroków pogadanki.

Nadejście pana Domirskiego zmieniło nieco ten tok towarzyszki — odtąd pan Karol nie był już onym kozłem ofiarnym, bo przecież należało się ojca zabawić, a gawędka o gospodarstwie, przeplatana wiadomościami z dzienników rolniczych, zawsze wielce dla niego zajmującą była. Pan Leon tymczasem znowu mógł *motylkować* przy córce.

Miss zajęta wyłącznie robótką swoją — *rezygnowała* wspaniałomyślnie. Bo jakkolwiek Cecylija raz po raz do niéj zagadywała, i pan Leon okazywał także, że język angielski obcym mu nie jest, — to wszelako z konieczności przybierając się w cnotę, zrzekła się przyjemności dla siebie, i nie przeszkadzała nikomu. Może też i marzyła o swojéj zielonéj, mglistéj, bogatéj, a dumnéj ojczyznie — i o pewnym do niéj powrocie.

Panna Cecylija śpiewała — na zaproszenie uprzejme, — grała — potém i *miss* także zagrała jakąś piękną fantazyę na *Rule Britania* — a pan Leon był zachwycony, bo szczególniéj, ponad wszelką inną rozrywkę, *lubił muzykę*.

Wieczór upłynął. Wracali późno do Nadolna. Karol prawił o żniwiarkach, o *lokomobilach*.... Leon był rozmarzony, ale w różowym humorze.

Świat tak był pięknym! Noc księżycowa uroczą! Pola, jezioro, lasy i sioła malowniczy przedstawiały obraz!... Pan Leon o mało, że lirnikiem, że poetą nie został — tyle tam na dnie duszy było pieśni.... *à la Ständchen* Szuberta.

Nazajutrz pan Karol był niezmiernie zatrudniony i wyprawiał do Warszawy po różne a różne przedmioty — jak to zwyczajnie przed ślubem bywa; pisał listy — przeglądał regestra swoje i rachunki, jak to zwykle praktyczni czynią ludzie. A może i wspomniał sobie przytem: „*Rachunki są to zmarłego grosza nagrobki!*"

Widząc gospodarza tak zajętego, Leon po drugiem śniadaniu prosił o pozwolenie mu wierzchowca — i pocwałował przez pole ku brzezinie. *Jacek* pana Karola nie był to wprawdzie jego *coxcomb*, lekkonogi rasowy, niosący gdyby który z ulubieńców Rentza — ale wszelako ujeżdżony doskonale, i mógł nim pokierować do woli. Pod brzeziną nagle zawrócił na lewo — przypuścił — i znikł w mgnieniu oka, zostawiając tylko tuman kurzu po za sobą. Po godzinnéj jeździe ujrzał się tuż pod... Krzewinami. Rzecz dziwna, że wierzchowiec pana Karola poniósł go raczéj w tę stronę, a nie do Gronowa?! Panna Lucyna mogłaby być markotną, na prawdę.

Krzewiny ładnie leżały: dwór obszerny, murowany, na wzgóreczku, a w koło trawniki i drzew dużo; dwa stawy, gołębnik, mostek, młyn wodny, Boża-męka — i las olszowy wcale ładny utworzyły obrazek. Dodajmy jeszcze i płotek przy łące na wpół powalony, złamanę wierzbę i chłopię w szaréj katance, o długich jasnych włosach, brodzące po strudze — a całość znajdzie się zupełna.

To też pan Leon przystanął i patrzał się, jak gdyby zamierzał zdjąć rysunek na prędce... Nagle lekki przeszkodził mu turkot — obejrzał się: na małym wózku jednokonnym nadjechał pan Domirski, powożąc się sam. Nasz bohatyr pokraśniał, jak gdyby na jakim nagannym schwytany uczynku.

— Dzień dobry, zawołał dziedzic Krzewin, wyciągając ku niemu rękę.

— Dzień dobry, panu dobr. — Leon pokraśniał raz drugi, uchylając brązowego *kalabreza*.

— A zkądżeż to bogowie prowadzą?

— Karol dziś strasznie zatrudniony... wyjechałem, koń nosił mnie po okolicy, aż wreszcie tutaj stanąłem.... Przypatrywałem się właśnie ładnemu położeniu....

— Tak, tak, pozycya niezła.

— Lubię te nasze sielskie widoki, a nie widziałem ich przez lat kilka, bawiąc za granicą.

— Zwykle to na płaszczyznie naszéj wieś jedna podobna do drugiéj, to i zaraz różne jawią się wspomnienia.

— Nie zatrzymuję pana dobr. — Leon schwycił za kapelusz i chciał się pożegnać.

— O, przecież pan wstąpisz! Nie godziłoby się ode wsi zawracać, jak gdyby z nieprzyjacielskiego obozu.

— Byłbym najszczęśliwszym.... lecz Karol mnie czeka — jąkał się Leon.

— Ej, toćże sam powiedziałeś, że jest zatrudniony po uszy. Zjedz z nami objadek, proszę! boć to już i pora niezadługo będzie.

(d. n.)

Kronika zagraniczna.

Piśmiennictwo zagraniczne, mianowicie francuzkie, nie przestaje być czynne w podnoszeniu stanowiska kobiet. Myśliciele i znawcy duszy, jak Balzac, Eugeniusz Myller, de Maistre, Daniel Stern, Michelet, Pompéry, szukali niejednokrotnie rozwiązania i ustalenia téj ważnéj kwestji społecznéj. Szereg ich powiększył obecnie Eugène Pelletan, wydając jednotomowe dzieło pod tytułem „*la Mère*", w którem stara się wyświęcić jedną z najważniejszych kwestji ludzkości: *ważność i znaczenie matki w pożyciu domowem.* Zanim atoli przejdziemy do przeglądu dzieła p. Pelletana, pragnęlibyśmy podzielić się z Czytelnikami kilku myślami, streszczającemi pokrótce wszystko to, cokolwiek w nowszych czasach o istocie i powołaniu kobiety napisanem zostało.

Najważniejszą zdobyczą ostatnich wieków, najpiękniejszym kwiatem nowoczesnéj oświaty jest idea równouprawnienia kobiety. Spowita i wypiastowana w średnich wiekach przeszła ona do nas jako świadectwo moralnego przesilenia, z pięknem i uroku pełnem obliczem.

W jednym prawie czasie powstają zastępy myślicieli, którzy przejęci dobrem ludzkości podjęli się uwolnienia kobiety z pod jarzma stronności i długoletnich uprzedzeń; powstaje jednem słowem nieznana wprzódy literatura, oddana wyłącznie na usługi świata kobiecego, i nigdy też sfera pojęć o znaczeniu i powołaniu kobiety w rozleglejsze nie wstąpiła zakresy. Co do kobiety to albo je zapoznawano albo zbytecznie wynoszono. Raz je stawiano o wiele niżéj od mężczyzn, przeznaczając im jedynie rolę służebności, pokory i pracy, drugi raz sławiono i ubóstwiano nad miarę ich bystrości rozumu, przenikliwość duszy, bujną wyobraźnię, ich kształty, urok i wdzięki. Jednym z ostatnich ale najzawziętszych przeciwników kobiet był Proudhon; zdaniem jego, kobieta była istotą słabą, chciwą, zepsutą, stworzeniem podrzędnem, żyjącem jedynie dla przyjemności drugich, lub dla zajęć domowych. Na czele drugiego stronnictwa, wielbiącego słowem i czynem powołanie kobiety, stał Balzac. Balzac schylał czoło z prawdziwą czcią przed posłannictwem kobiet, korzył się zarówną przed słabością jak i siłą ich duszy, sławił zwodnicze ich powaby, sławił ich stałość i zmienność, naiwność i przebiegłość. Zdaniem naszem, oba te stronnictwa na mylnéj poniekąd znajdowały się drodze: zdawaćby się mogło, że się uwzięły poprostu na przyćmienie téj kwestji, ile że za punkt wyjścia obierali najczęściéj fizyologiczną stronę kobiety, nie dotykając nigdy duszy i serca, w ogóle duchowych własności niewiasty. Jedni wołali, że kobieta, to sługa i niewolnica; drudzy

znów nazywali ją uosobioną miłością, zidealizowanem tchnieniem Stwórcy, źródłem i pobudką rycerskich czynów, nagrodą za cierpienia, trudy i mozoły, cudem porywającym nas na szczyt zuchwałéj wielkości lub bohaterskiéj rozpaczy.

A przecież, jest jeszcze inna postać kobiety, godniejsza stokroć i wznioślejsza, niżeli kobieta-sługa lub kobieta-czarodziejka. Jestto towarzyszka mężczyzny, istota oddana najważniejszym i najświętszym obowiązkom: jest żona, matka. Ileż-to szczytnego posłannictwa złożył Stwórca w łono żony i matki! Nie szukajmy w nich jedynie celów pożytku, pracy i przyjemności — w takim razie nigdy ich godnie ocenić nie zdołamy. Nie chodzi tu o wdzięki kobiety, nie o zysk z kobiety, lecz o jéj godność i powołanie. Sam wyraz *Matka*, acz skromny, jest sam przez się aż nadto ważny, iżbyśmy nie mieli przypomnieć sobie kobiecego posłannictwa i zapytać nas samych, ileśmy zrobili na drodze wychowania kobiet.

W jednym z listów (do córki pisanych) powiada de Maistre: „Kobiety nie pozostawiły dotąd żadnego arcydzieła: nie stworzyły ani *Iliady*, ani *Eneidy*, ani *Jerozolimy Wyzwolonéj*, ani *Fedry*, ani *Athalii*, ani *Mizanthropa*, ani *Tartufa*, ani kościoła Ś. Piotra, ani Apollina Belwederskiego; nie wynalazły ani algebry, ani teleskopów; a przecież zasługa ich jest o wiele wyższa i ważniejsza: na ich łonie spoczywa w spowiciu najszczytniejsza część społeczeństwa, przyszły mąż i przyszła żona". Tak samo i Balzac. Myśliciel ten, co zbadał tak głęboko wszystkie niemal strony kobiety, co je znał w najrozleglejszych i najdelikatniejszych odcieniach, Balzac powiada, że w kobiecie spoczywa najżywotniejsze zadanie ludzkości.

Kwestja kształcenia kobiet na dobre i zacne matki należy więc do najprzedniejszych spraw. Najznakomitsi znawcy duszy, oraz ludzie uzdatnieni i dbający szczerze o dobro kraju, o postęp i moralność narodu, poświęcili talent i pióro swoje podniesieniu kobiety. Należy do nich i Eugène Pelletan.

Zdaniem jego, kobieta powinna być w ogóle swobodniejszą, wykształceńszą, powinna umieć pojmować ważność swego powołania, winna się poświęcać prawdziwszym i zdrowszym ideom, wznioślejszym uczuciom, powinna umieć czuwać nie tylko nad tymi, których się jéj pieczy powierza, lecz i nad sobą samą, nad najmniejszym objawem swych myśli i zamiarów. Przez taką kobietę wchodzi do rodzin harmonja pożycia, dobrobybyt i zadowolenie, przez taką kobietę budzi się w ludzkości myśl zgody, miłości, przyjaźni i współczucia.

Eugène Pelletan domaga się ulepszenia bytu niewiast, mianowicie w początkach wychowania. Trudności w przeobrażeniu dotychczasowego, t. j. cząstkowego kształcenia kobiet byłyby wprawdzie niemałe; ależ przed ważnością tego rodzaju powinny ustąpić wszelkie uprzedzenia i przeszkody. Istnieją w rzeczy saméj koterje, wedle których dotychczasowe kształcenie kobiety nie powinno żadną miarą przechodzić zakresu zwykłéj codziennéj potrzeby, i obecny sposób wychowania jest ze wszech miar odpowiedni i wystarczający; sądzą, że dla kobiety zbytecznem jest zgłębienie rzeczywistości i przedmiotów podrzędnéj na pozór doniosłości, gdyż widnokrąg jéj myśli, życzeń i zamiarów za bardzoby się rozszerzył i podał jéj zarazem sposobność do wygórowanego współzawodnictwa z mężczyznami; skazują poprostu kobietę na sny, marzenia, grymas i pustotę, nie zważają bynajmniéj na gruntowne ukształcenie jéj duszy i serca, nie chcą ustalić jéj myśli, obudzić zdrowego sądu, zasilić jéj wiedzy, podniecać woli i podnosić ducha samodzielności: jednem słowem, w najmniejszem rozszerzeniu wychowaniu kobiet upatrują pole do źle zrozumianego współzawodnictwa, do przesady, zbytecznéj woli i zalotnictwa.

Kilka słów jednéj z najświatlejszych kobiet, pani Stern, wystarczą za odpowiedź na powyższe obawy: „Zalotnictwo kobiety jest wyraźną karą za niedbałość społeczeństwa w wychowaniu kobiet. Dajcie kobiecie możliwe środki moralnego i umysłowego równouprawnienia, a stanie się inną, poważniejszą. Nie pozwalajcie jéj trawić młodości na półśrodkach, półtalentach, podniecających jed nie próżność i pustotę, nie kształćcie jéj powierzchownie, bo to rozprasza jéj umysł na wszystkie strony; niech raczéj *sama* się zastanawia nad ważnością każdéj rzeczy, niech bada *sama* i ocenia *sama* zasady dobrego, niech się uczy przemierzać okiem zakres czynności, niech zgłębia tajniki własnego serca i usposobienia. Nie sądźcie, że to należy do nieodzownych obowiązków kobiety, jeżeli ją skazujemy uporczywie na uległość, służalstwo, ślepą pokorę i bezwzględne zaparcie się; wtenczas to i najgorętsze chęci nie są w stanie naprawić tego złego, jakieście wyrządzili kobiecie zbyt potulnéj, cichéj, bezwzględnie wyrozumiałéj, polegającéj li na obcem zdaniu, obcéj myśli, obcych życzeniach! Nic jéj nie pomoże spowiednik, nic rady i prośby ojca i męża, ale pomoże jedynie ścisłe i gruntowne wychowanie, pomoże swoboda i rozum systematycznie nabywany." Tyle pani Stern.

Co do Eugeniusza Pelletana, niemasz prawie ani jednéj strony w dziejach kobiety, nad którąby autor dzieła *la Mère* nie zastanowił się poszczególe i nie zbadał jéj jak najsumienniéj. *La Mère* p. Pelletana jest owocem długich prac i spostrzeżeń. Nie ma on celu tworzenia nowych zasad, owszem, utrzymując dawne, łączy je w przyzwoity związek i porządek z nowszemi, wskazuje światu ogromną ważność powołania matki, matkom wskazuje księgę powołania, a w niéj czystą duszę, łagodny charakter, wyrozumienie, sumienność, stałość, rozum i naukę. P. Polletan nie chce bynajmniéj być twórcą nowych postaci i typów kobiecych, ale występuje tylko jako życzliwy miłośnik szczęścia domowego, jako nauczyciel cnoty i obyczajów.

Najznamienitszym ustępem w dziele jego jest pogląd na stanowisko kobiety u wszystkich narodów i w różnych czasach świata. Z danych historycznych wyprowadził wnioski i prawa, którym nie podobna odmówić zdrowéj i umiejętnéj loiki, oraz trafności nad podziw szczęśliwéj. Nie są to systematycznie naciągane studja, ale raczéj nieodzowne wyniki, jak słońce, pełne prawdy dziejowéj — wyniki, zaczerpnięte z życia, począwszy od najodleglejszych chwil Sparty, Aten, Rzymu aż do czasów najnowszéj ery. Dzieło Pelletana jest cennym nabytkiem dla społeczeństwa; jestto płód żywotnéj kwestji, gorące słowa prawdy i sumienności zwróconéj za rozwojem i dążnością wieku. Dzieło to, pełne naturalnéj prostoty, ożywione barwnemi obrazami, tchnie na każdéj niemal stronnicy zapałem

przekonania, czerpiąc swą siłę w prawdzie, a nie w łudzących sofizmatach i błahych wzruszeniach.

August Jeske.

Kronika literacka.

Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka, taniec, przedstawił Oskar Kolberg. Serja I. Sandomierskie. Warszawa, skład główny u Gebetnera i Wolffa. Cena rs. 3.

Pan Kolberg Oskar znany jest naszym, mianowicie wiejskim czytelniczkom, jako niezmordowany zbieracz pieśni ludowych tak pod względem ich słów jak i melodji. Wydał on już jedno dzieło pod tytułem Pieśni ludu Polskiego, w którem na rozmiar obszerny chciał scharakteryzować pieśń ludu swobodnie płynącą, czy to przy pracy, czy na wypoczynku pod strzechą domową, czy w uroczystéj chwili weselnéj lub przy ochoczéj zabawie. Obecne jego dzieło jest dalszym tego poprzedniego ciągiem, z tą zmianą, że co tam osnute było z wykazaniem rozwoju jednego rodzaju pieśni (np. weselnych, miłosnych) w całym kraju, to tutaj ściśnięte jest w granice jednéj prowincji stanowiącéj samą w sobie zamkniętą wyłączność. Pierwszeństwo wzięło dziarskie Sandomierskie, którego pieśni tak wolne jak obrzędowe, mowa, przysłowia, gadki, gusła, zwyczaje i obyczaje dostarczyły p. Kolbergowi tak zajmującego wątku do jego dzieła. Autor jest na wskroś muzykiem i muzyczną też stronę tego przedmiotu najobszerniéj obrabia, jéj poświęcając najwięcéj miejsca, najobszerniejsze i najtrafniejsze uwagi. Szczególniéj zajmującym jest opis wesel Sandomierskich, gdzie p. Kolberg zwraca się niemal nieustannie do opisów tych uroczystości w powieściach Janka z Bielca zawartych, a pod względem artystycznym będących dotyczas najwyższem zobrazowaniem ludu. Również szczegółowym jest opis Sobotki, tudzież wolne pieśni między któremi mnóstwo wybornie malujących charakter ludu, jego wesołość, miłość niepokoje, tesknotę. Badaczom tego przedmiotu trzeba się uczyć z dzieła p. Kolberga scisłości jaka zalecać powinna zbierającego: wszędzie się on opiera na tem co słyszał, na tem co widział; przytacza miejsce, źródło, nic swéj dowolności nie zostawia, bo wie, że taką tylko drogą istotna nauka dochodzi prawdy. Polecając czytelniczkom naszym, mianowicie muzykalnym to dzieło, zwrócimy się do nich z prośbą p. Kolberga, aby mu tak pieśni z melodjami, jak opowiadania, opisy zwyczajów, sposobu życia i t. d. przysłać raczyły bo tym tylko sposobem dalsze jego serje zyskać mogą na pełności i prawdzie, a nauka i prawda jest dla p. Kolberga najwyższym przyświecającym mu celem.

Jedwabnictwo, przez Jana Nieciengiewicza. Warszawa 1865 r.

Nie od dzisiaj już jedwabnictwo głównie kobietom zawdzięcza u nas swą egzystencyję i rzeczywiście pielęgnowanie tych delikatnych, a tak pożytecznych stworzeń najwłaściwszem jest dla rąk niewieścich. Hodowla jedwabników może nawet dla gospodarstwa niewieściego przynieść niemały zasiłek, gdyby się tylko zdołało więcéj upowszechnić, a tym sposobem podnieść produkcję krajową. Na ten cel potrzeba tylko niewielkiego zasobu pieniężnego, umiejętności w hodowaniu i wytrwałości co do prowadzenia zamiaru do skutku. Co do nabycia umiejętnego obchodzenia się z jewabnikami, dzieło p. Nieciengiewicza, głównie oparte na praktycznych wypadkach jedwabniczego zakładu w Dreźnie, zdaje nam się dostatecznie wyczerpującem przedmiot i dla tego też polecamy je czytelniczkom naszym.

MYŚL O ZŁOCIE.

Dotąd uśpione były we mnie żądze
Hojna fortuna powabu nie miała;
Dzisiaj zaś widzę — dobrze mieć pieniądze,
Jakże-by czule ona mię kochała...

Cnota, skarb! mówią: lecz cóż po téj cnocie?
Złotko, ach złotko, to daleko świeci
Miéj choć garść złota a występków krocie,
Żaden ci pewno czoła nie zeszpeci.

Złoto, bóg złoty! biją jemu czołem,
Pierwszeństwo wszystkie oddają mu stany;
Dawco miłości! przyjm i mą część społem,
Zamieszkaj ze mną abym był kochany!...

Żeglarka.

Czy ja śniłem, czy marzyłem...
Żeglareczka młoda,
Po jeziorze w letniéj porze,
Wiosłem pruła wodę.

I pływała i śpiewała,
Wdzięczna nótka mknęła;
I nie w trzcinie, nie w olszynie,
Lecz w sercu tonęła.

Potem, potem... niewiem o tem,
Jak się to zrobiło:
Żeglareczki i łódeczki,
Na wodzie nie było.

Tylko w łonie coś utonie,
Coś serce przygniecie;
To żeglarka i łódź szparka,
Cóż na to powiecie?...

W. z Zacisza.

Norny i Balder.

Mitologija skandynawska, obok dzikiéj i dziwacznéj fantaji i szorstkości charakteru, odznacza się zarazem prawdziwie moralnym kierunkiem. Cała treść jéj zależy na ciągłéj, a odwiecznéj walce dwóch pierwia-

stków dobrego i złego, lecz w końcu dobro zwycięża i tryumfuje, bo bez dobra, nie ma życia, i wszystko musi zginąć, żeby się znowu, pod jego błogim wpływem odrodzić. Tajemnicza przyczyna bytu leży po za widomym krągiem stworzenia. Ona to kieruje wszystkiem, nawet Bogami, którzy są tylko przemijającem wcieleniem dobra, i objawia się przez wieszczby. Wieszczki, posiadające klucz tych odwiecznych, a niezmiennych wyroków Przeznaczenia, zwane *Nornami* albo *Wilami* górują niejako nad samymi Bogami, którzy u nich szukają rad i wiadomości o swoich losach. Lecz spójrzmy na nie, na tle właściwem skandynawskiego mytu:

„Na początku, nie było ani nieba, ani ziemi, ani wód, była tylko przepaść bezdenna, nad którą unosił się *Alfadur*, czyli ojciec powszechny...

Po obu stronach przepaści, leżały dwa światy, na północy świat cieni i chłodu, a na południu świat ognia.

Zatrute rzeki przerzynały świat północny, ale mróz je lodami okował. W następstwie czasu, od latających iskier ogniowego świata, prysły lody, i zatrute krople wód północnych, zlewając się w przepaść, dały początek stworzeniu...“

Pierwszemi żyjącemi istotami był olbrzym Ymar, i krowa Audumla. Pomijamy cudacką baśń w przemianach tych potworów, będącą niby prologiem otwierającego się drammatu życia, i chwytamy wątek podania, gdy życie to rozwinęło się w swojéj pełni.

„Na niebie mieszkali Bogowie i Boginie, zwani Asami i Asiniami. Na czele stał Odyn, niby wcielenie przedwiecznego i wiekuistego *Alfadura*. Przybytek Asów, świecący od srebra i złota nazywał się *Asgard*; a przybytkiem wybranych, była *Walhala*, gdzie do towarzystwa Bogów wprowadzała śmiertelników śmierć sławna na polu bitwy. Asowie i wybrańcy niebios spędzali czas na nieustannych bojach. Polegli ożywali na nowo i wraz ze zwycięzcami zasiadali do biesiady, podczas której usługiwały bohaterskie dziewice, *Walkiryje*, napełniając czary biesiadników miodem. Most tęczowy połączał niebo z ziemią i służył do przejazdu Bogów...

„Doczesnem mieszkaniem ludzi była ziemia. Sławni bojem, jak widzieliśmy, otrzymywali żywot pozgonny w Walhali, Tetöne, albo umierający ze starości i chorób, oddawani byli na pastwę władczyni śmierci *Heli*. Piekło to skandynawskie dręczyło wieczystemi lodami, chłodem i mrokiem... Ludzie wzięli początek bezpośrednio od Bogów, którzy *jasion* zamienili w mężczyznę, a *olchę* w kobietę; i z téj pary, powstał ród ludzki.

Istotami pośredniemi niejako między Bogami i ludźmi byli karli (*) i olbrzymi. Ci ostatni, prowadzili rodowód swój, od olbrzyma Ymara, a zatem z epoki poprzedzającéj panowanie Asów. Pochodzenie to ni dawało im poprzestawać na dzierżawach ziemskich, jakoż wdzierali się bezustannie do sfer nieba, trwożąc i niepokojąc Assów. Jeden nawet z rodu olbrzymów, zwany *Loke*, niby uosobione *Zło* w postaci ponętnéj, wszedł do towarzystwa władców niebieskich, i zanim wyda hasło do walki ostatecznéj z nimi, nabawia ich strachu, potwornem swojem potomstwem i nieszczędzi najboleśniejszych szyderstw.

Asowie bowiem są śmiertelni. Wiekuista władza *Przeznaczenia* ciąży nad niemi i w ciągłéj trzyma zależności. Będąc czasowymi tylko wyrazicielami *Dobra*, nie znajdują w sobie źródła wiedzy bezwzględnéj i czerpać ją muszą zewnątrz.

Zródłem wiedzy téj wiekuistéj, przeglądającéj nawet przyszłość, były *Norny*, w liczbie trzech; *Urda*, *Werdandi* i *Skalda*. Pierwsza dziedziczyła Przeszłość, druga Teraźniejszość, trzecia, Przyszłość. Odpowiedały one niby trzem *Parkom* mitologji greckiéj, znaczenie ich jednakże w Skandynawji, było o wiele wyższe. Główny ich przybytek był pod czarodziejskim drzewem *Ygdrasil*, którego korzenie i konary opasywały całe stworzenie. Źródła *Mądrości* i Przeszłości, tryskały z pod tego drzewa, i pod niem to Asowie, zbierali się na walne rady.

Oprócz trzech głównych Norn było wiele i onych wieszczek, zwanych *Wolwami*, które senne, z po za darni grobowéj, głosiły wróżby swoje ludziom i Bogom. Wieszczków spotykamy bardzo rzadko, i duch wieszczenia, przyznawany był niemal wyłącznie niewiastom. Z chrześcjaństwem nawet wiara w Norny, nie ustąpiła całkowicie, pozostała u ludu. Jeden z nowożytnych poetów duńskich, Oelenschläger, na tle téj tradycji ludowéj, usnuł piosnkę, którą tu dajemy w tłumaczeniu.

SMUTEK ZIMY.

Jasna, chłodna noc zimowa,
Zaspy śniegów srebrem stroi,
Blada światłość księżycowa,
Przy kolebce Norna stoi,
Pisząc na nóżkach dziecięcia,
Tajemne słowa zaklęcia.

„Czyny twoje i pragnienia,
Już wiadome są od wieka,
Święta ręka przaznaczenia,
Wszystko, wszystko co cię czeka
Zapisała na twem czole...
Musisz spełnić swoją dolę!“

I zniknęła — i nikt nie wie
Prawdy słów tych, ich znaczenia,
Księżycowy blask, w przelewie
Blado śniegi opromienia...
I czyż zdoła wzrok człowieka,
Przejrzyć przyszłość, co go czeka?!

Lecz to, co dziś zostało tylko szeptem przesądnym, niegdyś miało powagę dogmatu religijnego...

Cel stworzenia, obejmującego zarazem Niebo i ziemię, Bogów, olbrzymów i ludzi zależał na powszechnem panowaniu *Dobra*. Norny stały na straży tego porządku wszech-rzeczy, a wieszczby ich zapowiadały groźnie koniec świata, jak skoro *Zło* weźmie na nim górę!

Asowie, razem wzięci, jak powiedzieliśmy wyżéj byli przedstawicielami *Dobra*. Ale jeden z nich, *Balder* syn Odyna i Fryggi, był szczegółowem wcieleniem idei Dobra. Dopóki on *żyje*, to jest dopóki

(Dodatek).

(*) Patrz N. 34 Tygodnika Mód, o Elfinach.

istnieje w społeczeństwie *idea Dobra,* wszelkie pociski *Zła,* są bezsilne. Następuje jednak powszechny rozkład, tak, że sam Bóg światłości, *Balder,* poczyna trwożyć się, i sny złowieszcze zapowiadają mu śmierć bliską.

Fantazja skandynawska, malowniczo opisuje ten epizod z życia swoich Bogów...

Balder, trapiony przeczuciem, zwierza się matce, Frygga w macierzyńskiéj troskliwości *zaklina całe stworzenie,* żeby oszczędzało i ochraniało jéj syna. Całe stworzenie przyrzeka szczędzić go i osłaniać. Lecz w tem zaklęciu uroczystem Frygga pomija *jemiołę,* sądząc ją być zbyt słabą i bezsilną, żeby mogła szkodzić jéj niebiańskiemu synowi...

Nieszczęsna nie wiedziała, że dla harmonji życia, wszystko co istnieje wejść powinno w bratni sojusz miłości i zgody! Taka zdaje się być myśl mytu.

Jakoż duch zawiści i złego, *Loke,* nie zaniedbał skorzystać z téj omyłki. Podczas zwykłéj, nieszkodliwéj zabawki Asów, goniących z sobą na ostre, podsunął zdradziecko ślepemu bratu Baldera, Hodurowi, strzałę utoczoną z jemioły, którą cisnąwszy z łuku na Boga światłości, zadał mu cios śmiertelny...

Cała natura zapłakała. Asowie podwoili swoją ostrożność, przykowywując do skały skrępowanego *Loke,* i inne potęgi Zła...

Ale Balder, źródło Dobra, nie żyje, wszystko więc co istnie, musi zniknąć, żeby przetworzyć się na nowo. Katastrofę tę poprzedza panowanie krwi i bezprawia! Brat powstaje na brata, trzyletnia zima odejmuje słońcu światło i moc ożywczą, bo wszelkie *Zło,* niecierpi światła, i ogarnia się ciemnością!

Ogniowy świat południa dał początek stworzeniu i on go zniszczy. Wszystkie złe siły z pęt zerwane, stają pod wodzą Surtura (Czarny) króla ognia, uzbrojonego mieczem płomienistym. Wszystko ginie w walce zaciętéj, zarówno ludzie jak Bogowie... Ziemię pochłania morze, Niebo ginie w płomieniach!

Lecz zniszczenie to powszechne służy tylko do odrodzenia swiata. Nowa ziemia występuje z fal morskich. Synowie Odyna i innych Bogów powracają do dawnych siedzib Asów. Wraca w tryumfie Balder, wraz z bratem, który go zabił... Wśród ogólnego pożaru ocalała para ludzi, których potomkowie ziemię osiędą... Pokój, Sprawiedliwość i Obfitość, odtąd już światem władnąć będą..."

Niektórzy uczeni, widzą w tych mytach, symbolistykę systematu słonecznego. Balder, podług nich, jest *symbolem Dnia,* a *ślepy brat jego Hodur* „jest symbolem *Nocy,* i t. p. Inni, niemniéj prawdopodobnie, w wykładzie tych starych wierzeń skandynawskich, upatrują wpływ późniejszy chrześcjaństwa; przypuszczając, że stare, grube pojęcia pogańskie, podniesione zostały wieszczym duchem, zapowiadającym odrodzenie Dobra, w innéj, doskonalszéj formie... Nieodrzucając jednego i drugiego wykładu, przyznać jednak musimy, że w saméj zasadzie pierwotnego mytu, jakkolwiek połączonego może z pojęciami planetarnemi, i podniesionego przez wpływ wyobrażeń nowych, leży poczucie Dobra i Zła, jako dwóch pierwiastków, składających zagódkę życia, z przyznaniem pierwszeństwa Dobru. Niezaznany ten kierunek ku doskonaleniu się w treści i w formie, cechujący myty pogańskie, rozwinął się powoli w zaznaną dążność, postępowego kształcenia się, na drodze moralnego Dobra i Piękna.

Pamięć mitologicznego Baldera, zachowała się równie jak pamięć Norn u ludów skandynawskich, i Oelenschläger, podaje nam ją w następującéj piosnce:

POCIECHA LATA.

Słońce świeci uroczyście,
Wonne kwiecie łąkę stroi,
Na gałązkach szumią liście..
A pod dębem Balder stoi,
I w młodniczą pierś, w zachwycie,
Tchnie odwagę, moc i życie...

„Ty się nie trwóż Norny wieścią,
Cóż jéj słowa znaczyć mogą?
Myśl roztropną chowaj z cześcią,
Z prawem sercem idź swą drogą...
Przeznaczenie twe, w twéj dłoni,
Gdy duch męzki, pierś osłoni!"

Rzekł, i zniknął, jak widzenie,
Lecz myśl prawdę słów tych zważa...
Niech tam sobie Przeznaczenie,
To mnie cieszy, to zatrważa,
Czuję w sercu mojem, wolę...
Chcę sam własną zdobyć dolę!...

Oprócz téj krótkiéj piosnki, Oelenschläger na mitologicznem podaniu o Balderze osnuł tragedję obszernych rozmiarów. Przedmiot sam z siebie dramatyczny, dostarczył obfitéj treści utalentowanemu autorowi, rozmiłowanemu w tradycjach narodowych. Głębokie uczucie Piękna promienieje w téj idei wcielonego Dobra i Światłości, w tym ulubieńcu nieba i ziemi, któremu nieprzełamane wyroki grożą śmiercią. Śmierć jego uderza nie tylko smutkiem i żałobą świata, ale jest to zarazem cios proroczy, zapowiadający cały bezmiar nieszczęść, jest to chwila stanowcza, w przeznaczeniu Bogów... Oelenschläger, pojął całą donośność tego zadania, i utwór jego, ułożony w formy tragedji starożytnéj, pełen jest prostoty, powagi i smętności. Czytając go, przejęci jesteśmy współczuciem dla tych istot zarazem natury boskiéj i śmiertelnéj... które rządząc światem, ulegają same niewidoméj sile przeznaczenia... Przyjmuje nas, jakby wielkie przeczucie końca wszech-istnienia, jesteśmy, jakby przeniesieni w ciszę uroczystą *Walhali,* gdzie zdaleka grożą cienie zwierszchu i bliskiéj nocy Bogów...

(d. n.)

O UBIORACH

Korrespondencja z Paryża.

Zaczynamy dzisiejsze sprawozdanie nasze od sukien które stanowią zawsze najważniejszą część ubrania szczególniéj też letniego. Najwięcéj widziemy w tym roku sukien w podłużne pasy rozmaitéj szerokości. Materje jedwabne bywają zwykle w wązkie paski w dwóch odcieniach tegoż samego koloru np. *vers anglais* z ciemno-zielonym, lilla z fijołkowym, hawanna z brązowym, popielaty z czarnym. Niekiedy pasy te szerokie na dwa palce, idą do cieniu od jasnego do najciemniejszego. Uważaliśmy też ładne materyjki w bardzo drobne paseczki jasno popielate z ciemniejszym; na tem porzucone były nie wielkie gałązki koralowe, solferino, fijołkowe, zielone albo czarne.

Suknie *poil de chèvre*, (z koziéj wełny) sztywne, połyskujące należą do najpiękniejszych pomiędzy wełnianemi. Wiele z nich widać w szerokie pasy na trzy lub cztery palce, przechodzące w ćwierć łokciowych odstępach. Tło u nich najczęściéj białe lub jasno popielate; pasy lilla, szafirowe, orzechowe, stalowe i t. p. Do tych sukien zwyczajny garnirunek stanowią dwie albo trzy plisy ukośne, z tego samego materjału. Do większego ubrania noszą bardzo suknie z gazy *Chambery*, w pasy, przerabiane mat jedwabiem na tle przezroczystem: pasy te bywają zwykle ciemniejsze od tła albo czarne, niekiedy też kolorowe na czarnem; przybierają je również plisami ukośnemi.

Wiele oprócz tego widać sukien z gładkiego *lenosu* w bladych kolorach: szamoa, popielatym, niewarowym i t. p. Suknie te naszywają zwykle wstążką w żywym kolorze: fijołkowym, szafirowym, brązowym, zielonym lub aksamitką czarną.

Uważaliśmy między innemi ubranie złożone ze spodnicy i krótkiego paletocika; z *Lenosu* koloru *chamoi*. Spódniczka nad obrębem, naszyta była w ukośną drabinkę wązką na pół cala aksamitką czarną z białym brzeżkiem. Od każdego szczebelka, spadały trzy pukielki z podwójnéj aksamitki. Paletocik przybrany był odpowiednio, równie jak mankiety i epolety u rękawów. Przód paletocika objęty po prostu aksamitką, spinał się na guziki czarne.

Noszą także bardzo suknie z białego gładkiego *lenosu* lub *poil de chèvre*, przybierane kolorową wstążką, albo wstawką z koronki *kluny*, na kolorowem podwleczeniu. Przytaczamy tu jednę z tych sukien odznaczającą się prawdziwie dobrym gustem. Trzy tylne bryty znacznie przedłużone tworzyły jakby osobną część spódnicy, i miały oddzielny swój garnirunek. U dołu i po bokach naszyta była wstawka z koronki *kluny* szeroka na dwa palce, podwleczona wstążką niebieską. Przód spódnicy ogarnirowany był u dołu, wolancikiem z główką, wyciętym z obu stron w ostre zęby zakończone wypustką niebieską. Stanik miał baskinę znacznie przedłużoną z tyłu, przybraną wstawką z koronki *kluny* na wstążce. Guziki szmuklerskie niebieskie służyły do zapięcia. Wstawka koronkowa tworzyła epolety i mankiety u rękawów.

Trzecia suknia z *lenosu* koloru *gris de lin*, miała nad obrębem wodę z czarnego tiulu w drobne muszki; woda ta przytwierdzona z obu stron wązką aksamitką czarną, miała wypuszczoną główkę z wąziutkiéj koroneczki. Stanik z baskiną rozciętą w zęby, przybrany był cokolwiek węższą wodą.

Z pomiędzy dziecinnych sukienek, uważaliśmy bardzo ładną białą alpagową w drobne muszki niebieskie. U dołu szły w odstępach klapki podniesione w górę, przytwierdzone trzema guzikami niebieskiemi, objęte niebieskim rulonikiem, kaftanik przybrany był tak samo, pod spód szła biała muszlinowa koszulka.

Inna sukienka z gładkiéj popielatéj alpagi miała u dołu takie klapki pąsowe otoczone czarną aksamitką. Na chłodniejszy dzień, uważaliśmy dla sześcioletniéj dziewczynki, ładną sukienkę jasno szafirową tybetową, z takąż samą kamizeleczką o dwóch bawecikach, i krótkim paletocikiem. Tak kamizeleczka jak paletocik spinały się na srebrne czworograniaste guziki.

Chłopczyków ubierają w majtki korcikowe szerokie, koloru popielatego, ściągnięte u kolan na elastykę, szamerowane po bokach pletnią albo sutaszem czarnym. Takiż sam kaftanik zaokrąglony z przodu, szamerowany stosownie dopełnia ubrania. Pod spód idzie biała pikowa kamizeleczka, na chłodniejsze zaś dnie, taka sama jak kaftanik. Podczas letnich upałów ubierają chłopczyków, w kaftaniki i majteczki z piki białéj albo szamoa.

Paski szerokie ciągle się utrzymują, cokolwiek jednak węższe są, niż w roku zeszłym. Wiele noszą skórzanych w ciemnych kolorach. Klamerki najmodniejsze srebrne przerabiane ażurowo, złożone z dwóch kwadratów, spiętych na haczyk w środku. Takież same brosze kolczyki i grzebienie, należą w tym roku do najmodniejszych. Grzebienie mają ławkę odwracaną zakończającą koki w formie półksiężyca.

ROZMAITOŚCI.

Przejażdżka do kopalni złota.

(Dalszy ciąg).

II.

ELDORADO.

Z minięciem ostatniego domu w Folsomm, skończyła się lepsza droga, a ta na którąśmy wjechali dała nam uczuć wszystkie niewygody podróży po pół cywilizowanych krajach. W tę porę roku, w któréj zwiedzaliśmy Kalifornię, górzyste doliny między jakiemi wije się droga, okryte są mgłami niemal ciągle. Czasami tylko o południu rozwiewa się mgła, odkrywają się na chwilę widoki, które znowu opona gęstniejąca zasłania. Zima przedstawia się tu jak jesień, a blade kwiaty jeszcze stroją pożółkłe łąki. Na pierwszy rzut oka, kraj zdaje się pustynią, mieszkania ludzkie spotykają się rzadko... Wejrzawszy jednak głębiéj, wszędzie widać ślady pracy, dowody obecności człowieka. Grunta tu już są rozdzielone i ogrodzone cieniutkiemi żerdziami, które jak nitki ciągną się na niezmierzonych przestrzeniach. Daléj falowato płyną kosowiska w pośród których sterczą pnie drzew jeszcze niewykarczowane. Na błotach poprowadzono kanały i rowy odpływowe a na wygonach pasą się liczne stada bydła ożywiającego cały ten obraz.

Oprócz tych śladów życia sielskiego, na każdym kroku spotykamy prace górnicze, prace wydobywaczy złota. Oazy zajętych swojemi poszukiwaniami górników spotykają się dość często... częściéj jednak prace te mają na celu osuszenie gruntów pod posiewy lub miejsca przeznaczone do osiedlenia, dziś już bowiem rolnictwo w pięknym tym kraju większym jest źródłem bogactwa niż kopalnie złota...

W ciągu kilkunastu godzin nie spotkaliśmy więcéj nad dwadzieścia siedlisk zamieszkałych. Są to pojedyncze kolonje... czasami tylko grupujące się ale to już zawsze w miasteczko. Wieś nigdy zapewne nie zakwitnie w Kalifornii w znaczeniu europejskiem. Na to potrzeba przywiązania do gruntu, do rutyny. Tutejszy mieszkaniec nie żywi tych uczuć. Dla niego ferma, pole, ogród znaczy toż samo co sklep, dom, hotel, akcja przemysłowa. Tutaj własność nie ruchoma dwadzieścia razy prędzéj zmienia swego właściciela, niż u nas jakikolwiek papier kredytowy przejdzie z rąk do rąk.

Na jeden jeszcze przedmiot zwrocić musimy naszą uwagę to jest na tutejsze oberże, pocztamty gdyż obie te *instytucje* (!) łączą się z sobą. Są to maleńkie drewniane budynki z wystawką wspartą na słupkach koszlawą wapnem pobieloną i przypominającą żywo nasze polskie karczmy. Dowód to jeden więcéj za mniemaniem Mickiewicza iż architektura karczem polskich jest najstarożytniejszą, bierze początek od Tyryjskich cieśli.

Lecz nareszcie zaczęliśmy się zbliżać do kopalni wszędzie spotykając ich ślady. Tu rozkopane koryta potoków, nad któremi rzucono wązką kładkę zamiast mostu, tam kanały biegną przez drogę doprowadzając wodę do odległéj płoczki. Gdzie indziéj na cienkich ledwo trzymających się podstawach leżą długie wodociągi. Około drogi wyrobionéj i wygodniejszéj mieszkania ludzkie stają się coraz częstsze zawsze jednak zatrzymują ów charakter obozowy tak właściwy wszystkim amerykańskim kolonjom. Zbierzcie te budynki a okolica zostanie pustynią. Zdaje się że wczoraj dopiero powstały i jutro zwinięte zostaną. Domy te budują się bez fundamentów, nie otacza je żaden krzaczek, nie ocienia żadne drzewo. Stoją świeżo wymalowane jak budki wędrownego kramarza.

Najwięcéj charakterystycznem na drodze do Pleurwill, głównego punktu kopalni złotych w Eldorado, jest chińskie miasteczko Meedspring. Maleńkie i dość brudne domostwa, otaczają również mikroskopijnych rozmiarów ogródki, zieleniejące, równo wymierzane. Są one utworem chińskich ogrodników. Wspomnieliśmy o Chińczykach w Kalifornii, nie zawadzi więc kilka słów im poświęcić. Poraz pierwszy zjawili się w Kalifornii zaraz po odkryciu złota. W końcu 1851 roku liczba ich niezmiernie się zwiększyła. Wielu nie wierzyło w tę wędrówkę emigracyjną mieszkańców niebieskiego państwa, przekonano się jednak szybko o ich geniuszu kolonizacyjnym. Zjawienie się ich w Kaliforni przestraszyło innych emigrantów a statystom dało nie małego sęka do myślenia. Chińczycy jednak nie myśleli się wdzierać w granice posiadłości emigrantów Amerykańskich. Zamieszkiwali miejsca stojące pustynią, obrabiali grunta, których inni dotknąć się nie chcieli. Chińczycy pilnie i regularnie płacili podatki, choć najmniéj wymagali opieki od rządu, któréj też najmniéj im udzielano. Tak wolno krok za krokiem z niezmierną cierpliwością, z uporem trudnym do wypowiedzenia zdobywali piędź za piędzią téj nowéj dla siebie ojczyzny.

Od pierwszéj chwili pojawienia się Chińczyków, spotkała ich od innych kaliforniejskich narodowości głęboka niechęć. W początkach złotokopy amerykańscy, ludzie Bóg wie od jakiéj szubienicy oderwani, uważali sobie za krzywdę koleżeńską w jednem miejscu pracę z chińczykami. Wyjednano więc prawo niedozwalające spółzawodnictwa chińskich robotników a pozostawiające im taką pracę, któréj nikt już podjąć się nie chciał.

Gubernator Kalifornii urzędowo podniósł projekt zabronienia Chińczykom przybywania do kraju, zarzucając im rozmaite zbrodnie. Odparli oni to rodzajem manifestu, zasługującego na uwagę z powodu talentu, z jakim został napisany.

Bez względu jednak na przeszkody, na prześladowania wszelkiego rodzaju, liczba Chińczyków zwiększała się nieustannie, i dopiero w ostatnich czasach gdy ogólnie emigracja do Kalifornii ustała, cyfra przybyszów niebieskiego państwa także się zmniejszyła. Mimo to dziś mieszkający, przy swéj sile rozmnażania, Chińczycy stanowić będą większość ludności kalifornijskiéj.

Jednym z najważniejszych zarzutów stawianych Chińczykom w Kalifornii była ich swoboda obyczajów. Stosuje się to głównie do kobiet. Dawniéj chinki w Sant Francisko grały rolę lwic współzawodnicząc z Francuzkami. Jedna z nich nawet dobiła się wielkiéj popularności w modnym świecie złotéj (ale prawdziwie!) kalifornijskiéj młodzieży. Teraz niestety mianowicie po miastach nie braknie już białych Cyrcei które wyrugowały swoje żółte współzawodniczki.

Dawniéj pranie bielizny zostawało w rękach chiń-

czyków, dziś machinowe i parowe pralnie wielkich przedsiębierców o licznych kantorach i ten szczególny zarobek wytrąciły im z ręki. Mimo to typ chinskiéj praczki pozostał jeszcze szczególnym rysem charakterystycznym téj ludności naleciałéj prześladowanéj, różnéj cywilizacją ale czepiającéj się każdego gruntu z uporem z wytrwałością przełamującą prawie niepodobieństwa.

(d. n.)

Opis wzorów bielizny damskiéj.

N. 1. Koszula damska dzienna. Karczek złożony ze wstawek haftowanych i zakładek skośnych. Na plecach karczek zupełnie jest równy.

N. 2. Koszula nocna. Przód złożony ze wstawek haftowanych i koronkowych na przemiany. Karczek z tyłu jest gładki jak u koszuli mężkiéj. (Formę załączamy).

N. 3. Kaftanik negliżowy z muślinu lub połbatystu. Kołnierzyk, mankiety i przód dziergany. Na ramionach muślin układany w wodę czyli bufki.

N. 4. Koszula dzienna z okrągłym karczkiem, haftowanym w około. Falbanka może być przy karczku z półbatystu albo walansienki.

N. 5. Koszula dzienna. Przód zrobiony z zakładek skośnych i falbanki haftowanéj.

N. 6. Koszula dzienna. Karczek i rękawy haftowane w rzucik i garnirowane koronką. (Formę załączamy).

N. Koszula dzienna odmiennym krojem ubrana wstawką koronkową *kluny* i falbanką haftowaną. (Formę załączamy).

N. 8. Koszula dla dziecka. (Formę załączamy).

N. 9. Kaftanik negliżowy z półbatystu. Z przodu i na mankietach wszywane są kwadraty z dubeltowego muszlinu albo półbatystu układane w kostkę.

N. 10. Koszula damska nocna. Pasek naokoło szyi aż do przodu, jak również i mankiety układane w zakładki. W miejsce zakładek można użyć haftu atłaskowego, jak deseń na formie oznaczony.

N. 11. Sukienka dla małego dziecka muszlinowa. Rękawki i karczek są z jednéj sztuki układane w zakładki.

N. 12. Sukienka dla dziecka z jasno szafirowego tybetu ubrana czarną koroneczką i aksamitką. Epolety, pasek i szarfa z czarnéj materji.

N. 13. Kaftanik biały pikowy dla małego dziecka wyszyty sutaszem.

N. 14. Stanik biały muszlinowy złożony ze wstawek i muszlinu układanego w wodę.

N. 15. Suknia muszlinowa ubrana takąż falbanką wstążką i koroneczką.

N. 16. Kołnierzyk wykładany do mężkiéj koszuli najświeższego fasonu. Na przodzie zrobione są dwie dziurki podłużne do przeciągnięcia krawatu.

N. 17. Ten sam kołnierzyk z zawiązanym krawatem.

N. 18. Pasek do nocnéj koszuli wraz z deseniem do haftu, któréj wzór przedstawiony pod Numerem 10.

N. 19. Mankiet do tejże koszuli.

Opis formy koszuli dla dziecka oraz koszul dziennych i nocnéj dla osób dorosłych.

N. 1. Przednia część koszuli dla dziecka. Plecy tak samo się krają tylko bez wykroju, żeby zachodziły głębiéj na szyję. Wzór téj koszulki pod N. 8.

N. 2. Rękawek do tejże koszuli.

N. 3. Forma karczka do koszuli damskiéj. Plecy dają się proste. Wzór przedstawiony pod N. 6.

N. 4. Połowa rękawa do tejże koszuli.

N. 5 i 6. Karczek do nocnej koszuli, należący do wzoru pod N. 2.

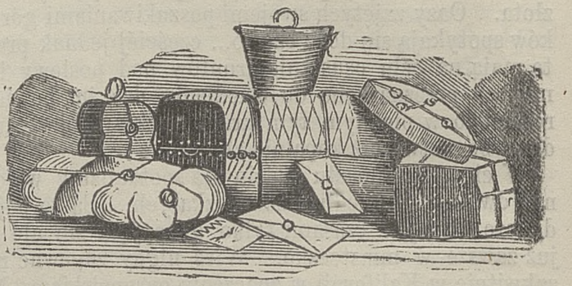
N. 7. Forma koszuli damskiéj, ściąganéj na tasiemkę.

N. 8. Połowa rękawa.

N. 9. Ramionczko do koszuli oznaczonéj N. 7.

N. 10. Połowa rękawa.

N. 11. Alfabet do znaczenia bielizny.



Pani W. Gall. w Herodku — List Jéj kommunikowaliśmy księgarni P. Dzwonkowskiego, lecz rezultatu żadnego nieotrzymaliśmy.

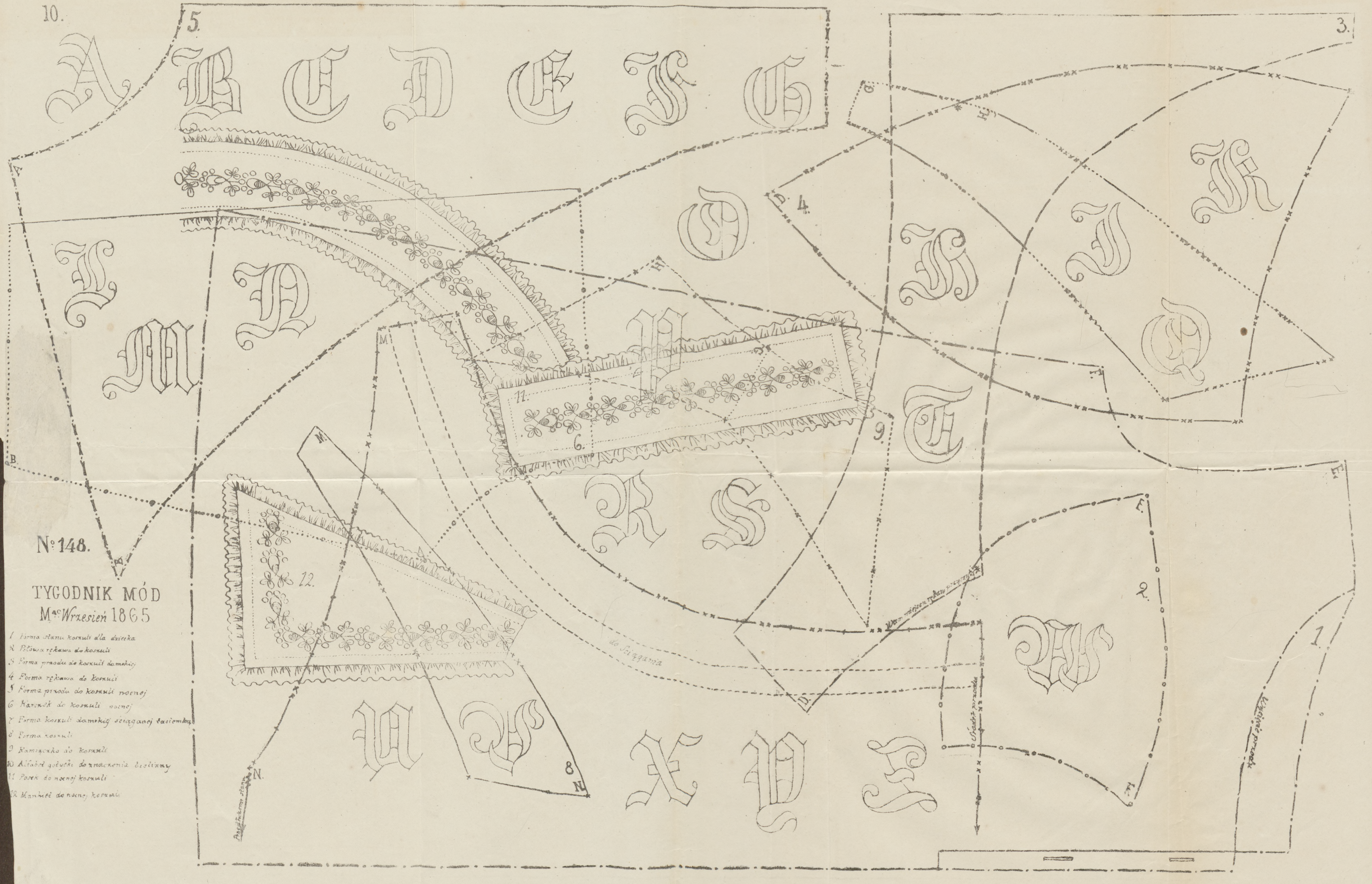
Pani Jank. w Siestratynie — Pasek żądany wraz z przesyłką kosztuje złp. 26 gr. 20, prosiemy zatem o nadesłanie reszty złp. 6 gr. 20.

Pani Ma. w Włodzimierzu Wołyńskim — Sprawunki żądane przez P. M. Suz. wysełają się, prosiemy o nadesłanie do takowych złp. 13 gr. 10, a rachunek ze sprawunkami prześlemy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami oraz formy koszul dziennych dla dziecka i nocnéj dla osób dorosłych.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



№ 148.

TYGODNIK MÓD

Mąc Wrzesień 1865

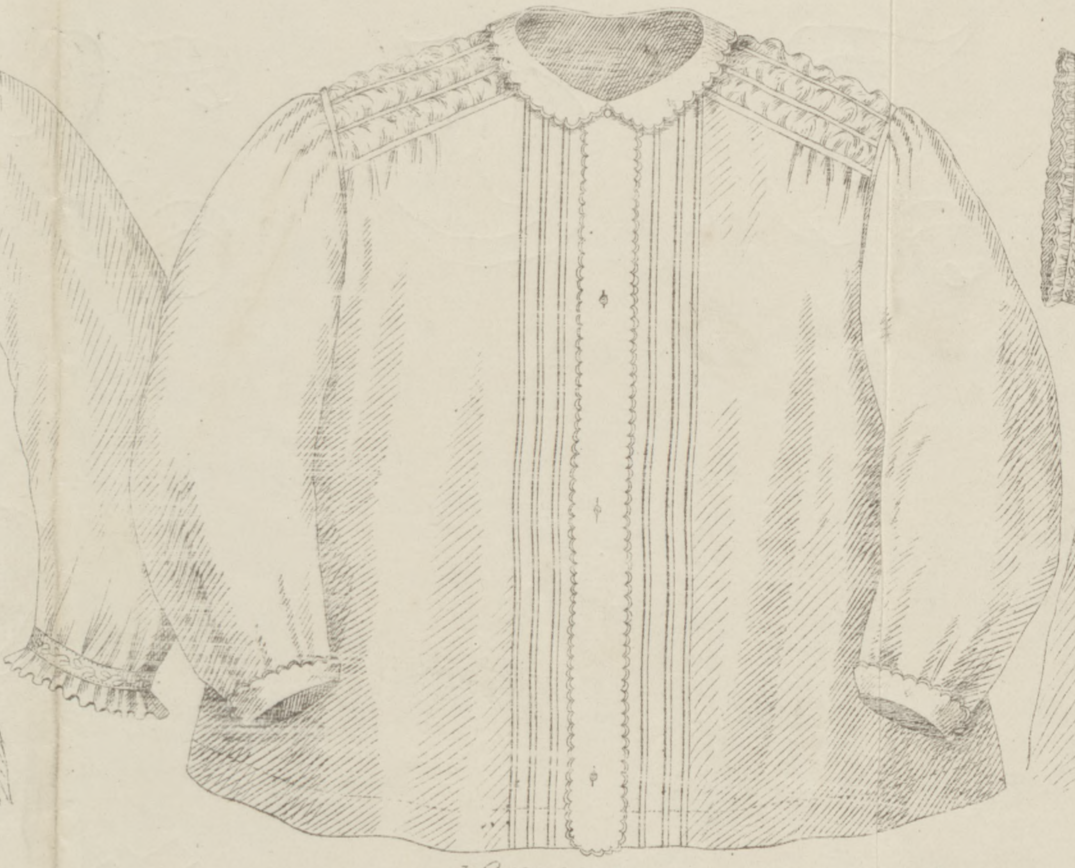
1 Forma stanu koszuli dla dziecka
2 Połowa rękawa do koszuli
3 Forma przodu do koszuli damskiej
4 Forma rękawa do koszuli
5 Forma przodu do koszuli nocnej
6 Karczek do koszuli nocnej
7 Forma koszuli damskiej ściąganej tasiemką
8 Forma koszuli
9 Ramiączko do koszuli
10 Alfabet gotycki do znaczenia bielizny
11 Pasek do nocnej koszuli
12 Mankiet do nocnej koszuli



Nº 1. Koszula damska dzienna.—



Nº 2. Koszula nocna



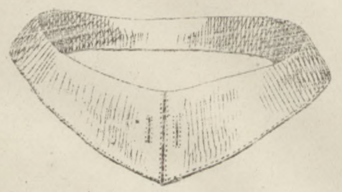
Nº 3. Kaftanik negliżowy z muślinu



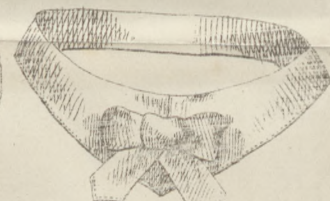
Nº 4. Koszula dzienna



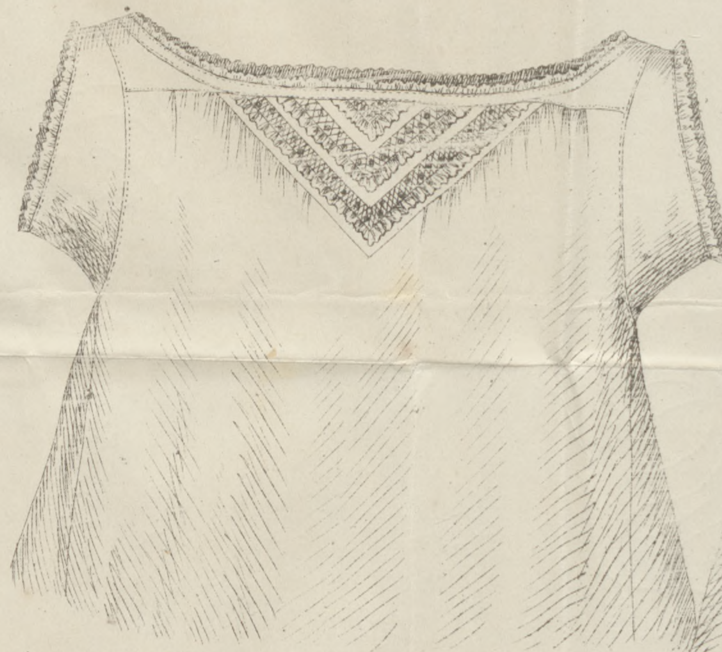
Nº 9 Kaftanik negliżowy z półbatystu.—



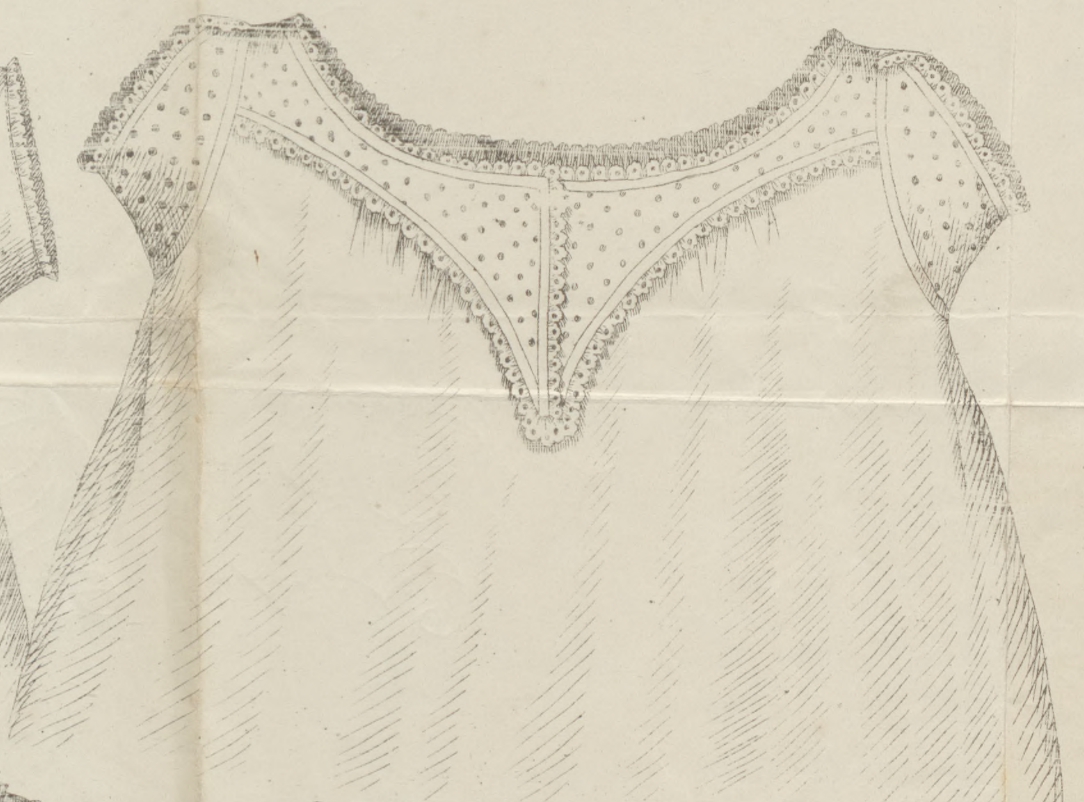
Nº 16. Kołnierzyk wykładany do męzkiej koszuli



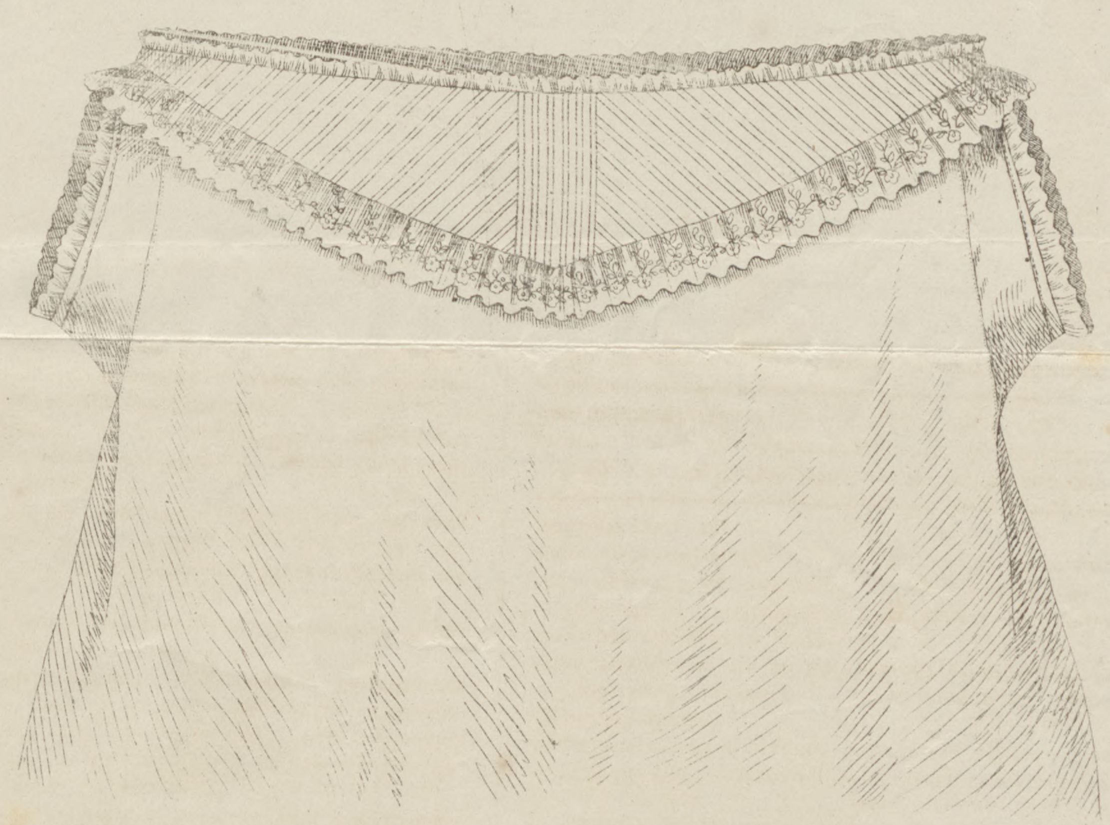
Nº 17. Tensam kołnierzyk z zawiązanym krawatem



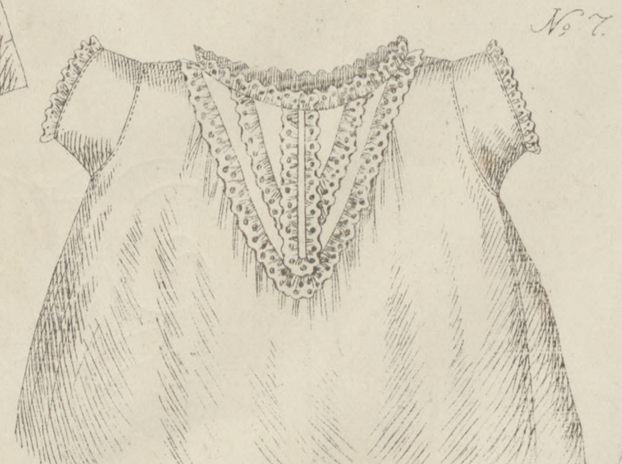
Nº 7. Koszula dzienna.—



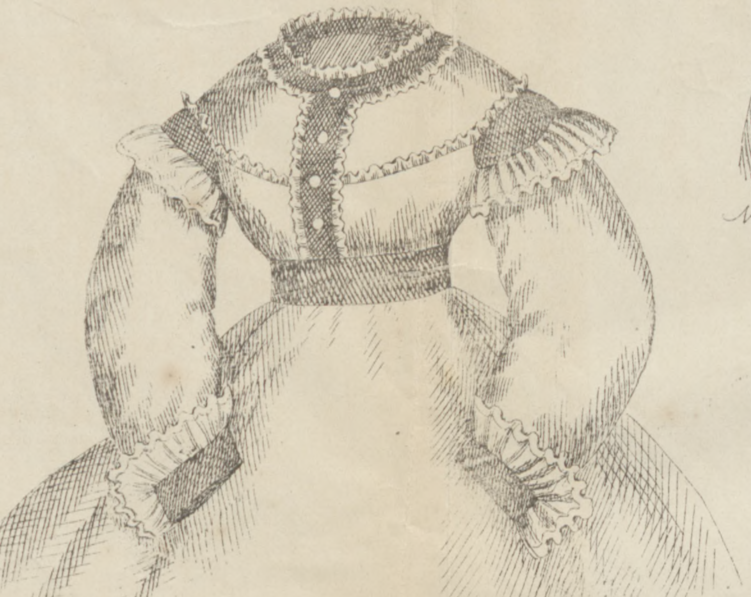
Nº 6. Koszula dzienna.—



Nº 5. Koszula dzienna



Nº 8. Koszula dla dziecka (Forma załączona na drugiej stronie).



Nº 15 Suknia muślinowa



Nº 12 Sukienka dla dziecka.—



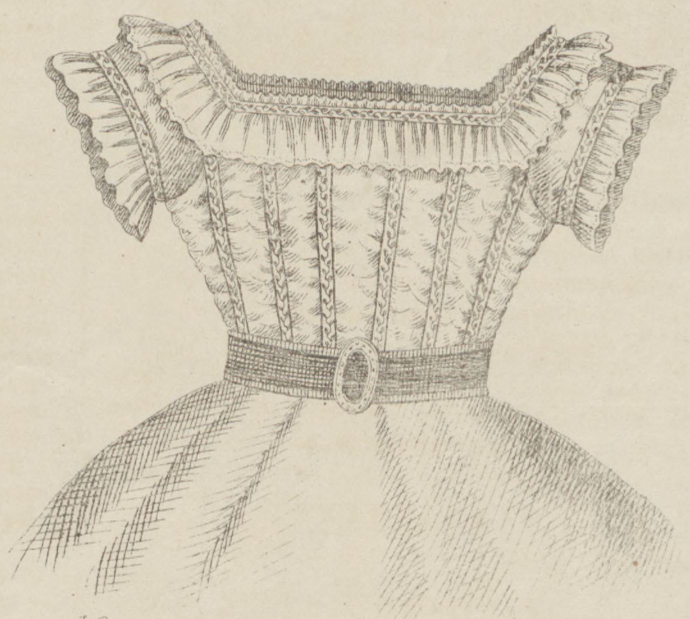
Nº 10 Koszula damska nocna.—



Nº 11. Sukienka dla małego dziecka muślinowa.—



Nº 13. Kaftanik biały pikowy.—



Nº 14 Stanik biały muślinowy.—